

Ludowego stanie w miejscu. W Polsce będzie tak, jak było kiedyś. (uczni siódmej klasy)

Myślę, że za rok będzie lepiej w Polsce i Polska będzie bogatsza, a ja będę w siódmej klasie, ale nie będę biegała za chłopakami. (sześcioklasistka)

Młodzież:

Myślę, że w Lucimiu nic się nie zmieni. Nadal będzie pędzono bimbru. Działacze Lucimia nadal będą działać. Dom kultury nie powstanie — dlatego, że mieszkańcy Lucimia nie są zorganizowani. Polska nie wyjdzie z kryzysu, ponieważ będzie niszczone przez politykę Regana i rozgłoszą Wolna Europa. I to wszystko. (nastolatek)

Za rok pójdę do wojska. Wódka będzie za darmo. Gdy przyjdę z wojska będzie pobudowany dom kultury. (poborowy)

Pójdę do generała Jaruzelskiego. Dziewczyny będą pięć więcej niż chłopcy. Wódka będzie tańsza i będzie kosztowała 22 grosze. Polska będzie w gorszym kryzysie. Gdy wrócę z wojska w progę będzie stała połówka i kwiat jabłoni. (poborowy)

Dorośli:

Piszę, że będzie stał dom kultury, że Akcja Lucim będzie istniała taka, jaka istnieje, tylko weselsza. Ja zrobię sobie w domu okna i do tej pory wychowię dzieci. W Polsce będzie życie na kartki. Aby Polska nie zginęła. Tak nic nowego nie będzie. (młoda gospodyni)

Dom — nie widzę większych zmian, oprócz powiększenia się rodziny. Rok 1983/84 ażeby przyniósł nam zmiany nie tylko w kraju, ale i też w Naszej wsi. Zaczątki murów domu kultury. Zmodernizowanie dróg wsi. Większe zaangażowanie mieszkańców w czyny społeczne. Kraj — wzięcie się za solidną odnowę kraju, a nie od nowa po starym. Rząd ażeby to, co wypowiadał, to

wykonywał i nie oszukiwał nas, jak jeszcze teraz się dzieje. Wytepić wszystkich tych, którzy niefortunnie rządzą i mocno trzymią się stołków, aby nie spaść z nich. (młody rolnik)

Dom — życzyłabym sobie, aby mój dom był domem szczęśliwym i życzliwym dla wszystkich. Ja — dużo zdrowia, wytrwałości dla siebie i całej rodziny. Lucim — więcej zaangażowania mieszkańców Lucimia w sprawy społeczne a młodzież sprawniejszą rękę do roboty. Polska — jeśli będziemy wszyscy uczciwie pracować to i lżej będzie można to długi spłacić, a jest takie przysłowie: „Nauka i praca narody wzbogacą”. (gospodyni)

Przewiduję, że rok 1983/84 powinien być rokiem lepszym niż rok 1981/82. Powinno się dużo zmienić w życiu oraz w naszym otoczeniu. Chciałabym, aby wieś Lucim była coraz ładniejsza i dużo się w niej działo, aby w końcu mieszkańcy postanowili zabrać się do roboty i powstał ten upragniony przez wszystkich dom kultury. Chciałabym, aby poprawiły się warunki życiowe, żeby wreszcie można było kupić to, co każdy potrzebuje i chce. Stopniowo będą znoszone kartki. W kraju będzie ład i porządek, życie nasze będzie spokojniejsze i weselsze. (gospodyni)

Dom — mój dom będzie szczęśliwy. Polubiłam tę wieś bardzo, lecz mój szczęśliwy dom będzie nie na tej ziemi. Wiem — będę zawsze żyła atmosferą Lucimia. Moje serce zawsze tu będzie powracać. Chciałabym bardzo, aby młodzież lucimska wreszcie pojęła, że ten Dom, który wyrosł w Lucimiu, to będzie ich własnością. Polska — trudności ze wszystkim i wszędzie. (młoda gospodyni)

Uważam, że sytuacja się nie polepszy, ale spokój będzie! Żywności nie powinno zabraknąć, a jak nie zabraknie żywności to będziemy silni i dźwigniemy Dom Ludowy powyżej fundamentów dla dobra Lucimia i Kraju. Aby w nas się coś nie załamało, to musimy być silni na duchu, a siła duchowa to jedność i zgoda. (gospodarz)

Fot.: W. Chmielewski, il. 6; A. Maziec, il. 5; S. Wasilewski, il. 1—4

## O LUCIMSKIM EKSPERYMENCIE

Rozmawiają: Aleksander Jackowski, Ewa Korulska i Hanna Szewczyk

Kilka razy mieliśmy możliwość wysłuchania p. Witolda Chmielewskiego, oglądaliśmy setki kolorowych przeźroczy, dokumentujących działania Grupy w Lucimiu i Górze Klasztornej. Po odczytach padały pytania, zgłaszano wątpliwości. Dotyczyły przede wszystkim szans trwałego ożywienia życia kulturalnego wsi, wniosków, jakie wynikają z lucimskiego eksperymentu.

O sprawach tych dyskutowaliśmy w redakcji. Oto zapis rozmowy w której udział wzięli: Aleksander Jackowski, Ewa Korulska i Hanna Szewczyk.

A.J. Koncepcja działania Grupy rodziła się w miarę pozyskiwania doświadczeń. Na początku ich wyobrażenia o tym, czego chcą, były nader mgliste i romantyczne. Mieli przede wszystkim świadomość fałszu, w który uwiłkana jest sztuka, sytuacja artysty... Zaczęło się od buntu przeciwko mechanizmom funkcjonowania sztuki w „wysokim” obiegu, pozorom istnienia rynku artystycznego, przeciwko grze szklanych paciorków, pustym gościom, wernisażom. Męczy miasto, zgiełk, brzydota nowych dzielnic, codzienność. Rodzi się więc idea — nie nowa w końcu — uczciwości. Dokąd? Jak to, dokąd? Na wieś! Do ludu, do chłopów, tam, gdzie niebo czyste, serce szczere. To nie, że lud nieco skażony, jak i ziemia, którą uprawia czy woda, którą pije — wciąż w porównaniu z miastem wieś wydaje się naszym artystom

wielką szansą. Koncepcją na życie i twórczość. Więc jadą na tę wieś, kupują starą chałupę, remontują, zdecydowani mieszkać tu, przyjaźnić się z ludźmi, służyć im swoją wiedzą, talentem, umiejętnościami.

Mamy tu w wielkim skrócie katalog wszystkich postaw, które znamy z historii porozbiorowej Polski: odgłosy romantycznego buntu i wiary w lud, młodopolskiego bratania się, pozytywistycznej decyzji „pójścia w lud” z kagankiem oświaty. Ale właśnie w tym punkcie widzę zasadniczą różnicę w ich postawie. Traktują wieś podmiotowo, nie próbują oświecać, uczyć, ale przede wszystkim starają się wyzwolić iniejętą i siłę ludzi, do których przyszli. Gotowi są przy tym zrezygnować z eksperymentu, z dotychczasowych ambicji artystycznych i wejść w nowe środowisko, dając mu to, co — jak sądzą — mogą i powinni dać. Witold Chmielewski pokazuje obrazy, czytelne w swej figuracji, przedstawiające miejscowych ludzi i sceny: siedzącego milicjanta, ludzi oczekujących na autobus, portrety sąsiadów. Inny z członków Grupy pokazuje fotografie; starają się wejść do wsi z poezją, rozwieszają na ulicy olbrzymie plachty papieru z wierszami, aranżują para-teatralne sytuacje. Wierzą, że to zainteresuje mieszkańców Lucimia.

E.K. Zastanawiam się, jak wieś ich początkowo traktowała. Myślę, że pół-żartem, pół-serio. Sadzili słoneczniki wzdłuż plotów,



Dekoracja plotu i bramy, Dożynki, Lucim 1983 r.

żeby upiększyć wieś, ale rzucali ziarna do zamrożonej ziemi, bo ustalili datę sadzenia, jak datę spektaklu, nie licząc się z pogodą. Oczywiście, nie wyrosły. Choć potem te słoneczniki wracają, np. w dekoracjach plotów w czasie dożynek.

A.J. Szczególnie ważne wydaje mi się to, że nawet przy próbach, które mogą wydać się trochę naiwne, podkreślają szacunek dla człowieka, dla każdego.

E.K. Kiedy np. wbijają w ziemię kątowniki, mające upamiętnić miejsce spotkania kogoś z Grupy z konkretnym mieszkańcem wsi. Kątowniki mają „wzrost” spotkanej osoby; kiedy autor i wykonawca pomysłu pomylił się o kilka centymetrów, uroczyście, w obecności sporej grupy mieszkańców wsi, dodał brakujący kawałek — a nie była to praca łatwa...

A.J. To jest dla mnie przykład działania, które samo w sobie wydaje się białe i wydumane, choć zabawne. Ale to, że autor tych „prywatnych pomników”, stwierdziwszy pomyłkę, uznał swoją winę i w obecności grupy ludzi skwapliwie doszwejił brakujące centymetry — jest dla mnie ważniejsze od całej zabawy. Znow można powtórzyć, że nie często się zdarzają, nawet takie, „samokrytyki”.

E.K. Ale co — waszym zdaniem — jest najważniejsze w działalności Grupy? Czy to, że przynoszą swój dorobek, swoją pracę na wieś i tam szukają odbiorcy? Czy to, że próbują wzbudzić aktywność plastyczną wsi? Czy wreszcie to, o czym nie mówiliśmy dotąd, ale co jest przez nich bardzo podkreślane, czyli próba ożywienia, nawet stworzenia, życia kulturalnego, przywrócenia rozluźnionych więzi między ludźmi?

A.J. Bardzo ważne, jeśli nie najważniejsze, wydają mi się działania sprzyjające integracji wsi. Integracji nie tylko Grupy z tą społecznością, ale i samych mieszkańców.

H.S. W moim przekonaniu najbardziej istotne są działania, które wskrzeszają stare obrzędy, święta. Wskrzeszają poniekąd.

— jest to działanie podobne do działania środków masowego przekazu próbujących wprowadzić obrzędy świeckie.

A.J., E.K. Nie!

H.S. Tak! Na takim poziomie, na jakim udaje się np. wprowadzić Dzień Matki. Nie chodzi o założenia, tylko o homologię struktur. Chodzi także o sposoby czy mechanizmy działania. Mówiliście o pobudzeniu aktywności ludzi, o tym, co w sposób zasadniczy różni Witka Chmielewskiego i jego Grupę od „pójścia w lud z kagankiem oświaty” czy bratania się z chłopem. Oczywiście, zgoda. Ale przecież założenia XIX-wiecznych działaczy „oświecających” lud na rozmaite sposoby, wydających pisma dla wsi czy książeczki z balladami Mickiewicza były takie same: aktywizacja wsi czy wprowadzenie elementów narodowych do kultury ludowej (taka jest wszak funkcja kalendarzy łucimskich, zwłaszcza tych pierwszych).

Istnieje jeszcze druga strona medalu. Zwróćcie uwagę, jak długo i w jaki sposób odbywało się wprowadzanie do naszej obyczajowości tzw. „dni” — dnia matki, ojca czy babci. Propagowane to było szeroko we wszystkich środkach masowego przekazu. Jeszcze kilkanaście lat temu telewizja nadawała obszernie audycje poświęcone tym „obchodom”. Mówiło się o tym i przypominało co najmniej tydzień wcześniej. Zawsze wszystko według obszernego, szczegółowego, tego samego scenariusza. Zawsze to była tylko mała grupka ludzi — próbujących coś zaproponować i wprowadzić do kulturowego obiegu, animatorów (w tym wypadku dziennikarzy radiowych i telewizyjnych) i przez długie lata wielu odbiorców, spełniających wyłącznie funkcję swego rodzaju widowni. Nie jest to bowiem widownia, która bije brawo, lecz taka, która przygląda się ukradkiem, niemal zza firanki. Przecież podobnie było w Lucimiu. Chmielewski i Grupa Działania przez kilka lat działali w odosobnieniu, zupełnie sami (wyjątek — i też niezupełnie



Figura Chrystusa w Lucimiu, udekorowana na Święto Plonów, 1983 r.

— stanowiły dożynki). Zwłaszcza w sytuacjach, gdy chcieli wprowadzić coś zupełnie nowego, np. sadzenie słoneczników czy rocznicę. Odbiorcy ich działań — miejscowi chłopcy — także byli tylko widzami, i to widzami „ukradkowymi”, niejawnymi. I też zza firanek właśnie przyglądali się, jak grupka okutanych w szaliki facetów rzuci ziarna w zamrażającą ziemię. Sam Chmielewski mówił, że traktowano ich wtedy, jak nieszkodliwych wariatów; tak, jak tysiące widzów paru pánów redaktorów, którzy niby—przypadkowo trafiają do niby—pierwszej—lepszego rodziny świętującej Dzień Ojca. To jednak dopiero początek. Okazuje się bowiem, że nigdy rzucanie ziaren słonecznikowych nawet w zamrażającą ziemię nie idzie na marne. Jak wspomniała Ewa, słoneczniki pojawiają się później w dekoracjach domów podczas dożynek. Nie idzie na marne także w szerszym wymiarze. Pozostaje święto lub przynajmniej jakieś jego elementy. Rzecz jasna, jego struktura podporządkowana zostaje znanym strukturom znanych świąt, niemożliwe jest bowiem, by święto czy obrzęd, *ex definitione* należące do sfery sacrum, ostało się jako „świeckie” (zatem przynależne sferze profanum!). Tak stało się z tym, co *mass media* nazywają „świeckimi obrzędami”, czyli tzw. „dniami” — matki, ojca, babci. Tak samo było przecież w Lucimiu. Forma święta wiosny zaproponowana przez Grupę Dzielenia (jednym z jej elementów było sadzenie słoneczników), a także Rocznicą miały strukturę takich „świeckich obrzędów” — podkreślałam raz jeszcze: nie chodzi tu o założenie Grupy, lecz o zbieżność struktur. Nie ostały się, bo nie mogły się ostać, powracając natomiast w dożynkowych dekoracjach czy różańcu lucimskim i różańcu z Górki Kościelnej. Najbardziej interesuje mnie, jakie ślady tych teraz już zaniechanych działań, odnajdziemy w kulturze Lucimia za lat 20 czy 30, gdy dzieci, z którymi przede wszyst-

kim współpracują członkowie Grupy, zdążą się już zestarzeć. E.K. Wydaje mi się, że cele stawiane przez Grupę są zupełnie inne, niż te, które przyświecają inspiratorom „nowych obrzędów”. Oni nie szukają „świeckich świąt” (sama nazwa ujawnia absurdalność tego pomysłu) — przeciwnie, szukają zagubionej świętości, marzą o renesansie wiary, religii.

H.S. Jednak próbują wprowadzić treści świeckie. Myślę tu np. o rocznicach, propozycji święta, które nie przyjęło się. Jest to próba wtłoczenia Lucimiu czy lucimian w jakiś ciąg historii — do tego ma prowadzić wypisywanie dat na ścianie, różaniec lucimski, rocznice. Innymi słowy — wtłoczenie w ramy historii obrzędowego roku świętego, charakterystycznego dla kultury chłopskiej, dostosowanie czasu kolistego do czasu linearnego. Udać im się to wtedy, gdy powraca kolistość czasu — np. kiedy różaniec święci się w momencie przejścia z jednego roku do drugiego. Zupełnie nie wychodzi Rocznicą. Nie ma potrzeby nazywania czegoś, co i tak jest nazwane. Nie ma potrzeby dodatkowego nazywania Lucimia — Lucimiem i malowania herbu. Nie ma potrzeby obchodzenia rocznic, bo nikomu ten czas linearny w aż takim wymiarze (jak na przeciętną percepcję i możliwość odczuwania czasu jest to wszak wymiar kosmiczny) nie jest potrzebny.

A.J. Brak dostatecznych motywacji! Przyjrzyjmy się akcjom związanym z rocznicą Lucimia. Nie angażują, nie mają zaplecza tradycji. Sam fakt nie przemawia do wyobraźni. Może znaczyłoby więcej, gdyby mówiono o tym w środkach masowego przekazu, gdyby mieszkańcy innych wsi zazdrościli lucimianom ich rodowodu. Cudze oczy najlepiej dowartościowują.

Co angażuje ludzi? Uroczystości zakotwiczone w tradycję, zwłaszcza w obrzędzie religijnym. Badania penetracyjne warszawskiej Katedry Etnografii świadczą, że ani w okresie międzywojennym, ani powojennym wieś nie obchodzi świąt państwowych. Pracuje się wówczas. Tylko dożynki stanowią wyjątek. Ale zawsze jest w nich składanie wieńców komus. Ty Ewo byłaś w Krasnobrodzie, pisałaś o dożynkach. Ale tam składa się wieńce w kościele. To samo widziałem w Puńsku. A lucimiaczy jest sobie sami składają... sami do siebie chodzą... nie sądzą, aby taka forma dała się utrzymać. Inspiracje dają efekt, gdy odwołują się do stosunkowo trwale zakorzenionych, utrwalonych schematów postępowania, odczuwania.

E.K. Ale też po roku czy dwóch zaczęli zapraszać księdza z parafii. To chyba zmieniło sens całej uroczystości...

H.S. Rodzi się pytanie, na ile ktoś z zewnątrz, ktoś obcy może wieś zaktywizować. To, że członkowie Grupy idą w pochodzie ze swoimi wytworami, że starają się robić wszystko wspólnie świadczy o tym, że chcą lucimianom pomagać. Ale mieszkańcy wsi sami powinni przygotować scenariusz, sami wymyśleć i wykonać rekwizyty. Jest to próba włączenia się do społeczności jako „swój”.

E.K. A jak to wygląda od strony lucimian?

H.S. Dla nich: przychodzi z zewnątrz, z miasta, plastyk, który ma większe kompetencje, o czym wiedzą, bo np. lepiej potrafi wyciąć schemat domu ze sklejki. Działanie plastyka zawsze będzie oglądane. Ludzie przed nimi będą odgrywać tak, jak wykonawcy, którzy ubierają się w stroje, kiedy nagrywamy na magnetofon tylko ich głosy. Ludzie mają świadomość, że pracują dla plastyków, przed nimi. Trudno od nich oczekiwać szczerości.

A.J. Pytanie, które postawiła Hania jest m. in. pytaniem o poczucie dystansu swój—obcy. Dzisiaj na wsi jest bardzo wielu ludzi obcych, którzy po pewnym czasie stają się swoimi. Jeśli przychodzi lekarz, nauczyciel, ksiądz, nawet ktoś z administracji czy milicjant — są obcy, ale wchodzą w strukturę wiejską, są przez wieś nie tylko tolerowani, ale i akceptowani.

H.S. Członkowie Grupy nie są jednak członkami społeczności. Do Lucimia dojeżdżają. Nie pracują tam. Nie są księdzem, lekarzem, nauczycielem, których obecność jest elementem struktury społecznej (stanowi to niewątpliwie osiągnięcie działaczy XIX-wiecznych). Obecność Chmielewskiego i jego grupy jest inna.

Grupa, jest czymś, bez czego można się obejść. Wszelkie struktury, w tym także struktura społeczna wsi toleruje tylko obcość, którą określić można jako niezbędna, zatem będącą jej częścią niejako „wbudowaną” w nią. Każda wieś musi mieć swojego „głupiego” (to także obcy), każda też musi mieć swoją elitę — „obcych” inteligentów (księdza, lekarza, nauczyciela czy komendanta posterunku), nie musi mieć jednak swojego plastyka.

Jakkolwiek jedni i drudzy świadczą sobie pewne usługi, to jednak takie, bez których obie strony mogłyby się obejść. Na co dzień wcale siebie nawzajem nie potrzebują. Tak samo nie jest potrzebny dom ludowy z kuchnią, zaprojektowany wg „najlepszych wzorów”. Nie ma żadnej tradycji takiego domu. Charakterystyczne, że nikt z Grupy Działania nie jest zapraszany na chrzciny czy wesela — odbywa się przecież co najmniej kilka w roku. To mnie uderzyło. To świadczy o ich — niezależnie od tego, że wieś się nimi chwali — wyobcowaniu. Ksiądz np. jest funkcją stałą. Zaprasza się go jako „lepszego gościa”, wypada, żeby był. A oni? Nie wiadomo, kim są. Gdyby np. pomagali w pracach polowych albo w budowaniu domów, rysowaniu planów, urządzaniu wnętrza, byłoby pewnie inaczej. Nie takiego jednak się nie dzieje. Dlatego brak integracji tego rodzaju. Biesiada jest bardzo ważną formą integracji (powtarzam rzeczy oczywiste, ale Grupa zdaje się tego nie doceniać). Teraz jeszcze — nawet badając knajpianą subkulturę — dostrzec można bardzo archaiczną symbolikę łańcucha osób, opasującego stół oraz strukturę tego łańcucha. Strukturę, w której ściśle określone jest miejsce „lepszych gości”, właśnie owych „obcych” — inteligentów. Widać to jeszcze wyraźniej przy większych uroczystościach — chrzcinach, pogrzebach, odpustach, że nie wspomnę już o wieczery wigilijnej. Ich się tam nie zaprasza. Być może między innymi dlatego, że stawiane przez nich stoły zawsze są stołami do oglądania, nigdy zaś stołami, przy których się zasiada. Również dlatego, że oni tam, w Lucimiu nie pracują. A.J. Ich pracą jest malowanie, wbijanie kątowników, aranżacja widowisk...

H.S. co dla społeczności wiejskiej jest życiem na niby  
A.J. jest pańskie...

H.S. Pan miał przynajmniej jakieś funkcje. Dlatego prosiło się go o błogosławieństwo, przynosiło mu dożynkowy wieniec. A.J. Proponowane przez nich formy współdziałania są więc trochę sztuczne. Tym różnią się od aktywizującej działalności np. Kościoła

E.K. ... który jest dla wsi instytucją naturalnie włączoną w bieg życia.

H.S. Zgoda. Dodam jeszcze, że inaczej jest — jak mówicie — w sytuacji, gdy działalność aktywizującą prowadzą osoby niejako ex definitione mające autorytet, np. duchowieństwo albo też działające w środowisku, jak nauczyciel, urzędnik. Wtedy ludzie patrzą tak oto: przyjechał, zainteresował się, ma pasję; ma też określone zajęcia — musi np. uczyć dzieci, ma jeszcze inne — znane wsi — obowiązki, a oprócz tego — jest z nami, z nami coś organizuje. Tymczasem Grupa działa na innej zasadzie. Ja wcale się nie dziwię, że ludzie nic nie robią. Każdy pewnie myśli: ja muszę oporządzić inwentarz, skosić, zagrabić, sprzątnąć, uprać, a oni nic nie mają do roboty. Nie pracują. Jednocześnie w pewnych sytuacjach reprezentują wieś. Wieś chwali się nimi, zwłaszcza przed innymi wsiami, np. podczas dożynek.

E.K. Chyba nie jest aż tak źle. Ostatnio kilka lat Komitet Dożynkowy tworzyli ludzie ze wsi. W tym roku zabrakło sołtysa, najbardziej czynnego organizatora. Grupa — zdaje się — także była zajęta czymś innym. Dożynek nie było.

Chciałabym w związku z tym postawić kolejne pytanie: co właściwie wieś wnosi nowego do ich propozycji. Mnie się wydaje, że to nowe — nowe dla Grupy — to jest właśnie stare... np. dekoracje dożynkowe są analogiczne do dekoracji w dniu Bożego Ciała. Wieś nie jest w stanie wnieść nic teraz stworzonego.

H.S. Jak się patrzy na ludzi, z którymi działają — albo są to ludzie starzy, albo dzieci. To w pewnym stopniu odzwierciedla

strukturę społeczną wsi. Dlatego mogą wnieść albo elementy stare, albo to, co wymyślą dzieci, np. wianki z głową konia. E.K. Chmielewski nazywa te zjawiska „nową sztuką ludową”... A.J. Przesada... nowa sztuka to taka, która rzeczywiście występuje i zaspokaja potrzeby środowiska. W tym przypadku mamy do czynienia z powrotem do jeszcze niezbyt dalekich zwyczajów. Bardzo ciekawa jest ta dekoracja ulic, płotów, to sadzanie kukiel przed domem, robienie z grabi czegoś na podobieństwo feretronów... To jest cenne, że aktywizuje się pamięć, że ludzie rywalizują w strojeniu swoich domów.

E.K. To, co ludzie robią, to nie są dzieła sztuki, to są rekwizyty, bardziej teatralne, niż jakiegokolwiek.

H.S. Te rekwizyty są symbolami, które zresztą nie zawsze są zrozumiałe dla plastyków. Np. chleb i wódka stawiane na stołach dożynkowych. Stół jest stołem biesiadnym, niezależnie od określeń plastyków (stół zimowy, jesienny itd.). Twierdzą, że wódka jest postawiona „przekornie”. To jest tymczasem znak świętowania, pomyślnego zakończenia jakiegos etapu. Poza tym wódka jest w końcu swego rodzaju płodem rolnym.

E.K. Mówisz o symbolach. Te symbole, wskrzeszone przez ludzi ze wsi, są nawiązaniem do tradycji, do dawnego systemu myślenia. Można byłoby chyba pokusić się o interpretację przepowiedni w tych samych kategoriach. Pamiętacie opis pierwszego święta — 2-go lutego — przepowiednie uroczyste zamknięte, opieczątowane — w tym było coś z obrzędu magicznego, zaklęcia, urzędzaju, roku.

A.J. W tych przepowiedniach wszystko się płące; co chcą — co przewidują — to są dwie różne, wciąż zakłócające się postawy. Te przepowiednie świadczą o braku myślenia politycznego — niektórzy np. uważali w roku 1981, że kryzys skończy się za rok...

E.K. Ja myślę, że tu trudno mówić o myśleniu politycznym. To jest raczej myślenie życzeniowe, a „rok” to pojęcie na poły magiczne. Czas w kulturze chłopskiej, o czym mówiła Hania, wciąż jest bardziej czasem kolistym, powrotnym, niż linearnym. „Rok” znaczy: kiedyś, w przyszłości, daleko.

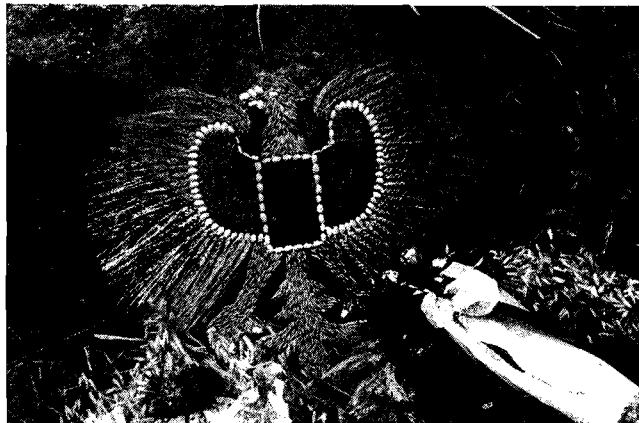
H.S. Jest to forma charakterystyczna dla starych formuł życzeniowych, kiedy mówiąc, że coś jest, powoduje się, że to się staje.

A.J. Druga rzecz, interesująca w przepowiedniach, to uroczysty ton, jaki ludzie przyjmują, pisząc takie rzeczy. Przy tym myślenie patriotyczne, myślenie o kraju, bardzo dla mnie ważne. Nie umiemy dostrzec tego, co tak wyraźnie występuje w przepowiedniach — ludzie chcą żyć w spokoju.

E.K. Wróćmy do problemu działalności kulturalnej. Wygląda na to, że działalność inspirowana przez ludzi z zewnątrz nie prowadzi do istotniejszych, trwałych przemian...

H.S. To chyba niezupełnie tak. To się okaże za 20 lat...

A.J. Przecież my to już znamy! Różne organizacje społeczne



Wieniec rodzinny w kształcie orla z kłosów i ziaren, z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, na piersi.

i polityczne próbowały wprowadzać nowe formy aktywności wsi. Dawało to rezultaty, gdy inicjatorem był ciekawy, pełen inicjatywy człowiek, umiejący trafić do ludzi, autentyczny działacz kultury. Takimi właśnie działaczami są Chmielewski i jego Grupa. Póki sami działają — intrygują ludzi, pociągają za sobą. Ale Chmielewski próbuje zaszczerpić idee, a potem usunąć się — niech inni działają, niech podejmą pomysły, uznają za swój. A tymczasem zapal jest krótkotrwały, mieszkańcy Lucimia najchętniej przyjmują postawę odbiorcy, widza. Świadczą o tym nawet te „wróżby”: życzymy sobie, aby Grupa działała nadal, oczekujemy na nowe propozycje itd.

E.K. Czy nie jest to po prostu typowa dla naszej teraźniejszej kultury postawa człowieka nastawionego na odbieranie podawanych przez mass media porcji informacji kulturalnej, która zastępuje wszelką aktywność własną?

A.J. Nasza kultura ma charakter recepcyjny, zwłaszcza w porównaniu z aktywnością dawnej kultury chłopskiej. Ale czy ta dawna aktywność nie była konsekwentną samowystarczalnego modelu nie tylko gospodarki, jak i kultury?

Są dwie sprawy. Jedną to aktywność twórcza jednostki (potrzeba tej aktywności), drugą zaś to model życia kulturalnego grupy, zakładający aktywność jej członków. Co do drugiej wydaje się nie ulegać wątpliwości, że kierunek rozwoju współczesnej kultury wiedzie do utrwalenia się modelu recepcyjnego, do wyraźnego rozdzielenia na postawę nadawcy i odbiorcy. Nie znamy natomiast dostatecznie mechanizmów psychologicznych związanych z postawami twórczymi. Wiemy, że występuje potrzeba aktywności, znajduje ujście w różnego rodzaju majsterkowaniu, zajmowaniu się hodowlą róż, zagospodarowaniem działek, amatorskim uprawianiem sztuki, muzyki, pisaniu pamiętników etc. Nie wiemy jednak, na ile są to potrzeby żywe, kiedy się rozwijają, kiedy zanikają; na ile wiążą się z modą, naśladowaniem, służą tylko wypełnieniu pustki, robieniu byle czego, by przełamać nudę — kiedy zaś wiążą się z potrzebą twórczej aktywności.

W każdym razie dają się wyraźnie dostrzec dwie tendencje: profesjonalizacja „obsługi” potrzeb kulturalnych i rozwój różnych form amatorskiego uprawiania sztuki.

E.K. Tak jest dzisiaj. I to podobnie na wsi i w mieście. A jak wyglądała sytuacja dawnej kultury chłopskiej?

A.J. Potrzeby współuczestnictwa, zbiorowego przeżywania realizowało niedzielne nabożeństwo i cały związany z nim rytuał — strojenia się, jazdy, zachowania itd. Drugą taką płaszczyzną styku były wesela, pogrzeby, trzeć — dla mężczyzn karczma, dla kobiet — np. na Śląsku — darcie pierza, wszelkie wspólnie

wykonywane prace, czwartą — zabawa — np. w remizie strażackiej. We wszystkich tych sytuacjach każdy znajdował swoje miejsce, choć nie każdy takie samo. Istniał jednak rytuał, zwyczaj zakorzeniony w tradycji. A w Lucimiu dzisiejszym rolę „przodownika”, organizatora, inspiratora wzięł na siebie Chmielewski z przyjaciółmi — i to przede wszystkim wywołało ten fenomen, który zwiemy Lucimkiem.

E.K. Chmielewski po eksperymencie lucimskim zwrócił się stronę Kościoła. Teraz współpracuje z księżmi z Górki Klasztornej. Wspólnie organizują m.in. dożynki parafialne, przenoszą niektóre pomysły działań „wypróbowanych” w Lucimiu (Święty Wieczór, różaniec lucimski) do Górki. Charakterystyczne wydają mi się kolejne formy, jakie przybierał ten różaniec, zanim stał się 90-cio metrowym różańcem, odmawianym przez całą noworoczną noc w kościele. Zaczęło się od wypisywania na ścianie starej stodoły szeregow dat — ten zapis miał pokazać — dosłownie — czas, pomóc mieszkańcom Lucimia w odczuciu ciągłości i długości historii. W następnym roku daty zostały wypisane na małych koleczkach połączonych w łańcuch — forma ta zapewne dała początek nazwie „różaniec lucimski”, wreszcie koleczki zostały zastąpione większymi i wtedy łańcuch został uroczysto poświęcony, stając się różańcem z Górki Klasztornej. Widoczna na fotografiach powaga, z jaką ludzie odnawiają ten niezwykle różaniec, coroczna uroczystość dodawania kolejnego ogniwa, którego „ojcem chrzestnym” jest najmłodszy parafianin — pokazują, jak wiele może zrobić ksiądz, Kościół dla integracji ludzi, stworzenia treści ważnych dla całej wspólnoty. A.J. Dla mnie było bardzo smutne obserwowanie wlotu i degiacji Paszyna. Ksiądz Nitka podjął działania, chcąc dowartościować ludzi — ale kiedy rzeźbiła już prawie cała wieś, rzeźbienie przestało być tym, czym miało być i było. Ksiądz Nitka marzył o stworzeniu ołtarza z rzeźb Paszyniaków; w momencie, kiedy rzeźbiło tak wielu, że było to już możliwe, parafianie zapytali księdza — za ile? Wieś dowartościowała się — ale to spowodowało zmianę mentalności...

E.K. Oni mają jednak złudzenia, że to, co robią, jest bardzo owocne...

A.J. Mnie się wydaje, że piękne rzeczy mogą robić tylko ludzie, którzy mają złudzenia. Nie widzę tu recepty, którą należałoby powielać. Mamy jeszcze raz do czynienia z sytuacją, że jeśli są ludzie, których coś interesuje, to nawet ich błędy mogą być błędami błogosławionymi. Oni działają, a ile razy Witold Chmielewski coś nam referował — ja to słyszałem trzy razy, wy dwa — to nas i jego ogarniało wzruszenie.

Fot.: A. Maziec